

O POJĘCIU KRYZYSU INTELEKTUALNEGO

1. Uwagi wstępne

Tekst poświęcony analizie pewnego (wskazanego w tytule) pojęcia chciałbym rozpocząć od złożenia **deklaracji filozoficznej**: Tradycją epistemologiczną/metodologiczną, do której tu nawiązuję jest **tradycja filozofii analitycznej**, a w szczególności szkoły lwowsko-warszawskiej (Ajdukiewicza, Kotarbińskiego i innych). Dla tradycji tej charakterystyczne jest **uznanie matematyki** za swego rodzaju „**wzorzec**” racjonalnego myślenia (kwestia jak bardzo filozofia czy nauki humanistyczne mogą zbliżyć się do tego wzorca, a także problem, czy i jakie konkretne teorie matematyczne mogą być w filozofii czy humanistyce stosowane, jest zagadnieniem odrębnym, które w ramach orientacji analitycznej rozmaicie może być rozwiązywane). W konsekwencji, uważa się w szczególności, że **język**, którym się w nauce posługujemy powinien być językiem możliwie **oszczędnym i precyzyjnym**, o możliwie wyraźnie określonej denotacji używanych słów. Posługiwanie się takim językiem jest warunkiem **koniecznym** (acz nie – wystarczającym), by formułowane w nim zdania miały dobrze określony sens, pozwalający na intersubiektywnie ważną ocenę ich prawdziwości/fałszywości. Poszukiwanie poprawnych formalnie i merytorycznie uzasadnionych definicji nie jest więc przejawem zbytecznej pedanterii intelektualnej. – Jest wstępnym (choć tylko wstępnym!) warunkiem **precyzyjnego opisu i głębokiego zrozumienia** opisywanych **zjawisk**. Jeśli zjawiska, które zamierzamy opisywać/wyjaśniać są złożone, to sama robota przygotowawcza musi być długotrwała i nie przynosząca natychmiastowych rezultatów poznawczych. Ale innej drogi – moim zdaniem – nie ma.

2. Pojęcie kryzysu

Rozważania nad pojęciem kryzysu intelektualnego dobrze będzie poprzedzić refleksją nad ogólnym pojęciem kryzysu. Jest bowiem mało prawdopodobne, by sama idea kryzysu będąca składnikiem pojęcia „kryzys intelektualny” była niezależna od idei kryzysu obecnego w takich pojęciach jak „kryzys ekonomiczny”, „kryzys państwa” itp. Ponadto przyjrzenie się różnorodnym kontekstom w jakich słowo „kryzys” funkcjonuje powinno być użyteczne z heurystycznego punktu widzenia: powinno ułatwić dostrzeżenie jego rozmaitych aspektów, wymiarów itp.

3. Wstępne obserwacje

Tym co najbardziej może rzuca się w oczy, gdy przegląda się różnorodne książki czy artykuły, jest swego rodzaju **paradoks**: Z jednej strony odnotowujemy niezwykle wręcz **powszechność występowania**/użycia tego słowa, zarówno w języku potocznym (politycznym, publicystycznym itd.) jak i w specjalistycznych językach różnych nauk: filozofii, socjologii, ekonomii, psychologii. Z drugiej, **trudno znaleźć** (mnie się w każdym razie nie udało) jakąś precyzyjną **definicję** tego pojęcia; niekoniecznie nawet ogólną „z przeznaczeniem” dla różnorodnych dyscyplin, ale choćby „szczególną” przeznaczoną na bezpośredni użytek jednej tylko dyscypliny.

Spróbujmy jakoś uporządkować i „skatalogować” (będzie to z pewnością dalece niekompletny katalog, ale powinien dostarczyć nam dość przejrzystego obrazu analizowanego obszaru). Można, jak sądzę, wyróżnić **trzy** w zasadzie niezależne **wymiary** („osie”) pojęcia „kryzys”. Każde z odnotowanych sposobów jego użycia można ulokować na tych trzech „osiach”. Te wymiary to:

1. czasowy/historyczny
2. „społeczno-przestrzenny” (socjologiczno-geograficzny)
3. systemowy (socjologiczno-strukturalny)

Nie będziemy analizować każdego z tych wymiarów w sposób ogólny. Dla każdego wymiary podamy tylko kilka przykładów.

Wymiar **czasowy** kryzysów: trwający kilkanaście dni kryzys kubański (1962), kilkumiesięczne kryzys rządowe (np. we Włoszech), trwający ok. 10 lat światowy kryzys ekonomiczny (1929-1939), ok. dwustuletni kryzys feudalizmu (XIV-XV w.), czy wreszcie – wg historyka szwajcarskiego Jacoba Burhardta [1818-1897] – cała kilkusetletnia epoka nowożytna jako kryzys kulturowy/cywilizacyjny.

Wymiar **społeczno-przestrzenny**: kryzys psychiczny – jednostki, kryzys w małej grupie społecznej (małżeństwie, rodzinie), kryzys organizacji (partii politycznej, korporacji), kryzys ogólnonarodowy, kryzys UE, kryzys światowy.

Wymiar **systemowy**: kryzys systemu bankowego, kryzys gospodarki; kryzys całego systemu społecznego; kryzys powieści, kryzys sztuki, kryzys kultury; kryzys partii lewicowych, kryzys systemu partyjnego, kryzys demokracji.

Tymczasowe konkluzje:

1. Dla każdego z wymiarów z osobna można wyróżnić „**mikrokryzysy**” „**makrokryzysy**” oraz kryzysy „pośrednie” – bardziej czy mniej zbliżone do jednego lub drugiego z biegunów.
2. Wymiary te są przynajmniej względnie/częściowo **niezależne**: z jednej strony – kryzys kubański: trwający kilkanaście dni, o skali światowej, ale dotyczący niewątpliwie bardzo ważnych, jednak dalece nie wszystkich elementów systemu światowego, z drugiej – wieloletni kryzys rodziny dotyczący wszystkich składników jej egzystencji.

Próba charakterystyki (roboczej definicji) kryzysu:

1. **Kryzys**: faza **procesu rozwoju** (lepiej może: reprodukcji) pewnego systemu (jednostkę ludzką też możemy traktować jako system!),
2. Kryzys: taka faza, w której:
 - /a/ **przestaje być możliwe kontynuowanie rozwoju** (reprodukcji) systemu – w oparciu o dotychczas wykorzystywane zasoby (wewnętrzne lub/i zewnętrzne) i/lub – w oparciu o dotychczasowe mechanizmy rozwoju/reprodukcji,
 - /b/ zarazem taka, w której stają się dostępne **nowe zasoby** – możliwe jest powstanie **nowych mechanizmów** rozwoju,

Oprócz tego ogólnego pojęcia kryzysu, warto rozważyć jego szczególne (a zarazem logicznie mocniejsze) warianty.

Pierwszy z nich uzyskamy dodając do poprzednich – warunku następującego:

1. Pojawiają się co najmniej dwie różne (**alternatywne**) **ścieżki** dalszego rozwoju (reprodukcji) systemu.

Jeszcze mocniejszy wariant pojęcia kryzysu otrzymamy dodawszy do poprzednich warunek kolejny:

2. Jedna ze ścieżek kończy się (nieuchronnie) **autodestrukcją** (rozpadem) systemu.

Na zakończenie uwaga dotycząca pojęć pokrewnych. Do najbliższych zaliczyć można pojęcie **katastrofy** (w sensie Rene Thoma) oraz – pojęcie **rewolucji**. Tekst, w którym analizowałem konsekwencje wieloznaczności tego pojęcia [Czajkowski, 13-36] i tekst obecny są tekstami, które wzajemnie się uzupełniają.

4. Pojęcie kryzysu intelektualnego

Wstępne określenie pojęcia „kryzys intelektualny”

Zasadniczym celem niniejszego tekstu jest analiza/konstrukcja pojęcia kryzysu intelektualnego. Z punktu widzenia przyjętej tu metodologii, pojęcie to **zakłada** ogólne pojęcie kryzysu. Jak wynika z rozważań przeprowadzonych w punkcie poprzednim, ogólne pojęcie kryzysu wymaga dalszych dociekań. Zakładam wszakże, że ogólne pojęcie kryzysu jest dość dobrze określone – na tyle, na ile jest to w tej chwili możliwe; inaczej mówiąc: zakładam, iż – mimo braku dostatecznie precyzyjnej charakterystyki/definicji – **rozumiemy** sens frazy „**kryzys systemu X**” (szkic takiej charakterystyki podałem jednak w p. 2).

Potrzebujemy więc określenia tego czym jest w naszym przypadku X. Przed przejściem do dyskusji tego zagadnienia (mającego merytoryczny/rzeźcowy charakter) dokonamy pewnej korekty językowej: w miejsce przymiotnika

„intelektualny” wprowadzimy frazę rzeczownikową „sfera intelektualna”; przedmiotem naszej uwagi będzie więc **kryzys sfery intelektualnej**; wygodną frazę „kryzys intelektualny” będę traktował dalej jako synonim/skrót frazy „kryzys sfery intelektualnej”.

W kolejnym kroku musimy scharakteryzować treść pojęcia „**sfera intelektualna**”. Przyjmuję, że pojęcie to odnosi się do pewnej **dziedziny** (obszaru) ludzkiej **aktywności** (działalności, działań), której konstytutywnym elementem są **teksty**.

Zakładamy dalej, że teksty – podobnie jak (przynajmniej niektóre) inne wytwory ludzkiej działalności (żywność, ubrania, samochody...) – są **produkowane, dystrybuowane** oraz **konsumowane** (w sensie szerszym niż potoczny: obejmującym także /z/używanie pewnych przedmiotów, czy też korzystanie z usług świadczonych przez innych ludzi). Nawiązuję tu w szczególności do wybitnego austriackiego/amerykańskiego ekonomisty, Fritza Machlupa [1902-1983], którego wydana w 1962 książka *The production and distribution of knowledge in the United States*, która odegrała ważną rolę w rozwoju badań ekonomicznych nad wiedzą. W książce tej wprowadził m.in. pojęcie „przemysłu wiedzy” (*knowledge industry*). Wyróżnił w nim pięć sektorów: edukację, badania i rozwój (*R&D*), mass media, technologie informacyjne oraz usługi informacyjne. Mimo pewnych różnic, sposób w jaki określam tu pojęcie sfery intelektualnej (a w szczególności jej szeroki zasięg) nawiązuje do koncepcji Machlupa.

Odnotujemy, gwoli porządku, oczywisty fakt: produkcja, dystrybucja i konsumpcja dowolnych obiektów, w tym – tekstów, ma charakter społeczny: generuje najróżnorodniejsze **relacje społeczne**. Przyjmiemy też, że **instytucje** społeczne (organizacje itd.) mogą być traktowane jako szczególny przypadek (względnie dobrze określonych i względnie stabilnych) relacji społecznych.

Zaznaczmy na koniec, że konstruowane tu pojęcie sfery intelektualnej obejmuje nie tylko odpowiednie działania, ale także – generowane przez te działania relacje społeczne.

Przyjąwszy powyższe ustalenia, możemy powiedzieć, że **kryzys intelektualny** to **kryzys produkcji** i/lub **kryzys dystrybucji** i/lub **kryzys konsumpcji – tekstów**, i/lub **kryzys relacji społecznych** (w tym – instytucji) generowanych przez produkcję (dystrybucję, konsumpcję) tekstów.

Sądzę, że sformułowanie tej charakterystyki jest pewnym krokiem w kierunku sprecyzowania zarazem teoretycznego jak i empirycznego sensu terminu „kryzys intelektualny”. Nie sądzę jednak, by już w tym momencie była możliwa ocena zasadności przyjętej tu strategii teoretycznej. Niezbędna (choć także niewystarczająca) będzie charakterystyka (choćby zwięzła) kluczowego pojęcia tekstu, oraz specyfiki (składinąd dobrze znanych w swej ogólnej postaci) pojęć produkcji, dystrybucji i konsumpcji – gdy są one odnoszone do szczególnej klasy obiektów, jaką są właśnie – teksty.

Sfera intelektualna

Charakterystykę sfery intelektualnej rozpoczniemy od charakterystyki pojęcia „tekstu”. Przeprowadzimy ją w trzech krokach: W pierwszym skupimy się na **denotacji** (zakresie) pojęcia „tekst”. W dwóch następnych wskażemy na **dwa pojęcia**, które pozostają w bliskim związku z pojęciem tekstu, pozwalając precyzyjniej uchwycić (dookreślając) jego **konotację** (treść); są to pojęcia – „**referencyjności**” oraz „**interpretacji**” (rozumienia).

Z różnych powodów nie zamierzam definiować tu pojęcia „tekst”. Charakterystykę jego zakresu przeprowadzę w najprostszy dostępny sposób – przez wyliczenie.

Niewątpliwie paradygmatycznym przykładem tekstu jest **książka** („Biblia”, „O pochodzeniu gatunków” „Trędowata”, „Principia mathematica” czy cokolwiek...), czyli szczególnie typ **tekstu pisanego** (w szerokim sensie: pisanego ręcznie, drukowanego, elektronicznego). Znacznie młodszym, ale nie mniej (a prawdopodobnie: bardziej) ważnym przykładem tekstu pisanego jest **artykuł** (felieton itp.) publikowany w gazetach (czasopismach, na portalach internetowych...). Tekstami są również **dokumenty publiczne** (niektóre z nich – np. kodeksy – publikowane w postaci książek, inne – np. „zwykłe” ustawy w *sui generis* czasopismach [Dziennik Ustaw, Monitor Polski]), oraz – **dokumenty prywatne**. Zwróćmy przy okazji uwagę na proces przetwarzania tekstów i towarzyszącą mu zmianę ich charakteru (np. publikacja prywatnych listów, dzienników/pamiętników itd.).

Oprócz tekstów pisanych mamy do czynienia z **tekstami mówionymi** (abstrahując od zapisu graficznego [stenogramu, streszczenia itp.], zwróćmy uwagę na zapis dźwiękowy). Niekiedy mają one charakter dobrze określony: np. przemówienie w parlamencie, wykład uniwersytecki; także – czytane teksty pisane (np. powieść czytana w radio). Inne nie mają dobrze określonych granic: np. wiele wypowiedzi w życiu codziennym. Być może nie każdą wypowiedź (np. prostą prośbę/rozkaz „Otwórz drzwi!”) należałoby uznać za – tekst. Nie widzę jednak sposobu, by sensownie przeprowadzić taką „delimitację”: wykład akademicki (zwłaszcza wygłaszany przez Mistrza) jest niekiedy donioślejszy (co do skutków) a i formalnie (z uwagi na logiczną konstrukcję) lepiej określony niż niejedyn tekst pisany; niewątpliwie musi być uznany za tekst. A co ze słowami Mistrza w bardziej prywatnej rozmowie z grupą uczniów, czy zgoła – jednym uczniem? To samo można powiedzieć o – z jednej strony - przemówieniach polityków (zapisane teksty wielkich mów przeszły do Historii i pozostaną w niej dłużej niż wiele uczonych traktatów) skierowanych do wielkich audytoriów, a – z drugiej – o ich wypowiedziach w trakcie np. tajnych negocjacji.

Wróćmy teraz do teksów pisanych. Libretto dowolnej opery jest niewątpliwie tekstem. Z pewnością tekstem jest libretto „odczytane” – tekst „mówiony” („śpiewany”). Ale przecież nie sposób zlekceważyć muzyki, a i – scenografii. A jak jesteśmy już przy operze, to zwróćmy uwagę na bliską jej, ale w jednym punkcie istotnie odmienną – bo „bezsłowną” – dziedzinę sztuki jaką jest balet. Refleksje nad operą i baletem skłaniają do uznania, że przynajmniej część dzieł

malarskich, rzeźbiarskich, architektonicznych, muzycznych (w szczególności tych – jak opera, teatr, film – są zbudowane także z tekstów językowych, ale nie tylko) to także – teksty. Czy „Biały kwadrat na białym tle” Malewicza – nie będę tu przesądzał; ale że „Hołd pruski” Matejki powinien być uznany za tekst – to niemal, moim zdaniem, oczywiste. To samo można powiedzieć o IX Symfonii Beethovena czy o pałacu w Wersalu. Że do tak rozumianych tekstów należy zaliczyć także filmy (fabularne, dokumentalne, animowane...), wszelkie programy telewizyjne i radiowe, a także wszystko, co w postaci wizualnej i/lub dźwiękowej pojawia się w internecie – jest, jak sądzę, oczywiste i niewymagające komentarza.

Z dzisiejszego punktu widzenia (cywilizacji medialnej/obrazkowej), z punktu widzenia teorii współczesnego społeczeństwa globalnego jeszcze ważniejszym niż prawidłowe ujęcie sztuki („wysokiej”) jest właściwe ujęcie roli w kształtowaniu wyobrażeń o świecie/postaw wobec świata, którą odgrywają szeroko rozumiane obrazy, cała **ikonosfera**: plakaty, bilbordy, wystawy sklepowe, dekoracje ulic (np. w okresie świąt państwowych czy religijnych)... (Odnotujmy, że jednym z pierwszych, który w sposób systematyczny posługiwał się tym słowem jako kategorią teoretyczną był Mieczysław Porębski [1921-2012]).

Podsumujmy. Do **zbioru tekstów** zaliczymy wszelkie (a więc: niezależnie od stopnia ich oryginalności/trywialności, doniosłości/braku-znaczenia, uporządkowania/chaotyczności, prawdziwości/fałszywości, itd.):

- wypowiedzi pisane i mówione,
- obrazy (dzieła malarstwa/grafiki, fotografie, mapy, projekty urządzeń),
- budynki (rozumiane jako utwory architektoniczne) oraz układy przestrzenne (utwory urbanistyczne),
- filmy, programy TV,
- (niektóre) utwory muzyczne,
- audycje radiowe,
- zawartość Internetu,
- niektóre zachowania ruchowe (balet, gesty liturgiczne, marsze wojskowe itp.),
- wszelkie kombinacje powyższych (np. dzieła operowe, nabożeństwa, defilady i manifestacje).

Powyższa lista nie jest prawdopodobnie kompletna. Obejmuje ona jednak, jaki mi się wydaje, zdecydowaną większość obiektów, które – z uwagi na wyjściowe intuicje – chciałbym zaliczyć do zakresu pojęcia „tekst”. Mimo tego, że zakres ten jest bardzo szeroki ma on jednak swoje granice. Z pewnością nie „wszystko jest tekstem”, jak to twierdzili niektórzy filozofowie postmoderniści. (Sygnalizuję tu swój dystans wobec postmodernizmu, ale – zarazem – przekonanie, że jego pojawienie się właśnie w epoce powstawania cywilizacji informacyjnej/społeczeństwa wiedzy nie jest przypadkowe).

Denotacja (zakres) pojęcia „tekst” została zakreślony bardzo szeroko: oprócz obiektów, które zaliczane są do tekstów w życiu codziennym (potocznej praktyce językowej), uznano za teksty również obiekty, którym język potoczny

statusu tekstów na ogół nie przyznaje. Czy słusznie? Czy da się wskazać jakieś istotne powody takiej decyzji? Jeden z nich (w moim przekonaniu – niebłahy) został już poprzednio wskazany: trudność wytyczenia granicy między „klasycznymi” a „nieklasycznymi” tekstami. Nie jest to jednak jedyny powód. Istotniejsze jest to, że wszelkie teksty (zarówno „klasyczne” jak i „nieklasyczne”) posiadają pewne ważne cechy wspólne.

Jedną z nich jest to, że każdy **tekst** – aby „zaistniał” jako tekst właśnie – **musi być zrozumiany**. Sformułowanie to uzupełnijmy kilkoma uwagami.

Po pierwsze: Zauważmy, że żaden przedmiot nie jest tylko i wyłącznie tekstem: książka jest niewątpliwie pokrytym farbą drukarską papierem, obraz – płótnem pokrytym farbami olejnymi, gest błogosławieństwa – ruchem ręki – Papier **staje się** książką, płótno – obrazem, ruch ręki – gestem błogosławieństwa – **poprzez proces rozumienia/interpretacji**. (Można byłoby powiedzieć, że proces rozumienia aktualizuje wcześniej jedynie potencjalny byt tekstu. Problem właściwej charakterystyki owego stawania się/aktualizacji jest bardzo ciekawym zagadnieniem filozoficznym. W tym miejscu wystarczy musi wskazanie tego procesu).

Po drugie: Czasami możemy mieć do czynienia z subtelnymi różnicami: niekiedy **książki palono** jako książki właśnie – z uwagi na ich treść (a więc – jako teksty), a sam **akt ich palenia** był też swego rodzaju **tekstem** właśnie; w innych zaś okolicznościach książki palono, bo były jedynymi dostępnymi przedmiotami palnymi, a uzyskany dzięki temu ogień był po prostu źródłem ciepła).

Po trzecie: Istotny dla „tekstowości” danego obiektu jest to, że jest on rozumiany/interpretowany. Jeżeli ktoś w Bułgarii rozumie/interpretuje pewien ruch głową jako znak potwierdzenia (podczas gdy jest on znakiem zaprzeczenia), to – w każdym bądź razie – traktuje ten jako „znaczący”, a więc jako tekst; interpretuje go błędnie, ale interpretuje. Jeśli uznaje go za np. symptom choroby, to nie dostrzega jego charakteru tekstowego. Jeśli weźmiemy pod uwagę bardziej skomplikowane teksty, to dostrzeżemy, że **spory interpretacyjne** są „na porządku dziennym”: nie mogą wykluczać, nie wykluczają tego (a może nawet silniej: potwierdzają to), że dany obiekt jest tekstem.

Drugą niejako stroną tego, że przedmioty ujawniają (aktualizują) swą „tekstowość” w procesie rozumienia/interpretacji jest „**referencyjność**” tekstów: Teksty o czymś „mówią”, ew. coś przedstawiają, a interpretacja polega właśnie na rozpoznaniu tego, o czym i co „mówi” dany tekst.

Każdy tekst presuponuje więc jakiś przedmiot do którego się odnosi. Kilka uwag dot. przedmiotów, o których mówią (mogą mówić) teksty wydaje się tu niezbędnych.

Po pierwsze, przedmiot może być **prosty** lub **złożony** – kolektywnie (jak stół złożony z blatu i nóg) bądź dystrybucyjnie (jak grupa liczb całkowitych, złożona i z liczb, i z operacji dodawania, i z elementu neutralnego); może być „mały” (np. cząsteczka wody), lub „bardzo duży” (np. Wszechświat).

Po drugie, przedmiot, do którego odnosi się tekst, może być najzupełniej **dowolnego rodzaju**: może to być Albert Einstein albo Andrzej Kmicic, archanioł Gabriel albo diabeł Boruta, liczba *pi* albo automat Turinga, atom wodoru albo Droga Mleczna, pies Szarik albo ekosfera, widelec albo Internet, małżeństwo Marii i Piotra Curie albo cała ludzkość.

Po trzecie: tekst może w szczególności stwierdzać **istnienie** pewnego przedmiotu, ale też – jego **nieistnienie**. Ujmując rzecz najzwyczajej: Sądę, że wypowiedzi stwierdzające nieistnienie (odpowiednio:) kwadratowego koła, krasnoludków, *perpetum mobile* pierwszego rodzaju czy istot inteligentnych na Marsie – to różne wypowiedzi. By móc uznać tę różnorodność, nie sposób, jak sądzę, nie wykorzystać (w jaki sposób, to odrębne zagadnienie) pewnych idei austriackiego filozofa Alexiusa Meinonga [1853-1920], który wprowadził pojęcie „absystencji”, pozwalające nam uznać, że pewne obiekty zarazem – nie istnieją, a nawet istnieć nie mogą (kwadratowe koło, największa liczba naturalna), ale jakoś „są” i mogą być od siebie odróżniane. (Interesującym przykładem różnorodnych przedmiotów niemożliwych, a jednak – jakoś przedstawianych, są niektóre obiekty znajdujące się w grafikach holenderskiego artysty Mauritsa C. Eschera [1898-1972].

Po czwarte: Tekst może odnosić się do **dobrze określonego przedmiotu**, a może odnosić się do przedmiotu **określonego** jedynie **cząstkowo** – jako elementu pewnej klasy. Ograniczając się do podania ilustracji problemu, weźmy pod uwagę następujący ciąg zdań: „Jaś urodził się 1 czerwca 2000 r.” „Jaś urodził się pewnego czerwcowego dnia 2000 r.”, „Jaś urodził się kilka lat temu”.

Kilka uwag uzupełniających. Najpierw – o powodach zdefiniowania sfery intelektualnej za pomocą pojęcia tekstu.

Po pierwsze, będąc nawet jak najdalszym od filozofii/ideologii leżącej u podstaw behawioryzmu, nie sposób nie uznać, że – w najlepszym razie – świadomość (przeżycia, emocje, przekonania...) jest dana bezpośrednio jednemu tylko podmiotowi. **Przekonania innych** ludzi znamy tylko pośrednio, m.in. **za pośrednictwem** wytwarzanych przez ludzi **tekstów** (ale oczywiście także poprzez obserwację ich „nietekstowych” działań itd.).

Po drugie, istotnym (choć nie jedynym) **sposobem wpływania na innych** (na ich przekonania, postawy, emocje, zachowania...) jest **dostarczanie** im takich czy innych **tekstów**. Jeśli np. chcemy kogoś wprawić w dobry nastrój, to możemy to uczynić poprzez opowiedzenie dowcipu, ale także przez jakieś gesty (miny), nucać jakąś melodię itp. Pewne treści metafizyczne/religijne (zapewne nie

wszystkie: niektóre z pewnością słów wymagają) przekazywane są za pomocą gestów, melodii, architektury

Po trzecie (ale może – **najważniejsze**) Na pewnym (co najmniej: wstępnym) etapie badań nad ewolucją kultury (świadomości społecznej...) **pożądane** jest **ograniczenie** (pełna eliminacja nie jest oczywiście możliwa) **wpływu** własnych **przekonań aksjologicznych** (światopoglądowych) badaczy kultury. Dotyczy to zarówno poszczególnych tekstów jak całych ich grup (metafizyka, ideologia, religia...). Mimo kłopotów z pojęciem tekstu, łatwiej jest wskazać na teksty, jako obiekt badań, aniżeli na takie trudno uchwytnie (bez pewnych założeń aksjologicznych) obiekty, jak nauka czy sztuka. Dodajmy też, że z pewnego co najmniej punktu widzenia (socjologiczno-historycznego) – kicz, bełkot, bzdura, banał, fałsz... (nawet jeśli takimi są z punktu widzenia tej czy innej aksjologii) należą do historii kultury tak samo jak arcydzieła sztuki, teorie doskonałe, oryginalne wizje przyszłości itp. Należą i z uwagi na to, że zostały wytworzone i fakt ten zasługuje na zrozumienie/wyjaśnienie, i z uwagi na to, że wpływały na swoich odbiorców (często znacznie silniej niż utwory, które uważamy za genialne).

Teraz słów kilka o relacji między sferą intelektualną a innymi sferami ludzkiej aktywności. Jest zgoła oczywiste, że sfera **intelektualna** nie jest sferą „zamkniętą”. Wręcz przeciwnie, sfera ta „**przecina się**” („interferuje”) z **innymi sferami**. Trzeba jednak zauważyć, iż poszczególne fragmenty sfery intelektualnej różnią się stopniem swego uwikłania w inne sfery (czy, patrząc z drugiej strony, stopniem swej autonomiczności względem innych sfer): Produkcja i recepcja słowa mówionego odgrywa kluczową rolę we wszystkich dziedzinach życia – od seksu po politykę międzynarodową. Natomiast produkcja utworów poetyckich albo artykułów sumerologicznych w niewielkim stosunkowo (!) stopniu jest uwikłana w inne sfery ludzkiej aktywności.

Procesy społeczne związane z tekstami są – najogólniej rzecz biorąc – analogiczne do procesów, w których uczestniczą innego rodzaju obiekty: Książka, obraz czy płyta z muzyką musi być - tak samo jak chleb, ubranie czy meble – najpierw wytworzona (wyprodukowana), potem musi przebyć pewną drogę między producentem a konsumentem, wreszcie – jeśli nie ma być zmarnowana (skądinąd nierzadki przypadek) – musi być przyswojona, czyli – używając żargonu ekonomicznego – skonsumowana.

Będziemy więc mówić o produkcji, dystrybucji i konsumpcji tekstów. Oczywiście produkcja (a także dystrybucja czy konsumpcja) tekstów różni się od produkcji (dystrybucji, konsumpcji) przedmiotów „czysto materialnych”. Warto wszakże zauważyć, że produkcja (itd.) przedmiotów „czysto materialnych” jest niezwykle zróżnicowana. Dla ilustracji zauważmy, że użytkowanie (specyficzna forma konsumpcji) budynku mieszkalnego pod pewnymi przynajmniej względami bardziej przypomina czytanie książki niż jedzenie obiadu (różnice między

konsumpcją przedstawienia teatralnego czy koncertu a konsumpcją filmu czy muzycznego CD).

Zauważmy też, że zachodzi znaczące podobieństwo między cyklicznością procesów produkcji, dystrybucji i konsumpcji w sferach „czysto materialnych” (np. wytworzenie pewnej ilości żywności i jej dostarczenie rolnikowi jest warunkiem koniecznym **reprodukcji** jego zdolności do pracy, czyli wytworzenia nowej żywności) i sferze intelektualnej (napisanie książki przez uczzonego a następnie jej przeczytanie przez innego uczzonego jest warunkiem napisania następnej książki).

Zacznijmy od **produkcji tekstów**. W procesie tym, jak w każdym procesie produkcji, możemy wyróżnić dwie strony: **podmiotową** (ludzką, subiektywną) oraz **przedmiotową** (rzecзовą, obiektywną).

Rozpatrywana od strony subiektywnej, produkcja tekstów (przynajmniej ich znacznej części; pomijam tu kwestię wytwarzania w życiu codziennym „tekstów potocznych”) jest – pracą. Wymaga ona, jak każda **praca**, po pierwsze: **kompetencji** (kwalifikacji, umiejętności, sprawności), a po drugie: **motywacji**.

Te oczywistą obserwację uzupełnijmy kilkoma uwagami. Najpierw – o kompetencjach. **Tworzenie tekstów** (zwłaszcza „doniosłych”) **wymaga wiedzy** (mniej czy bardziej ogólnej, mniej czy bardziej specjalistycznej – pojawia się tu problem optymalnej struktury wiedzy indywidualnej). Ale wymaga także **ogólnych cech intelektualnych** (wyobraźnia, pamięć, zdolność logicznego rozumowania) oraz takich, które zwykle zaliczane są do „**cech charakteru**”: cierpliwości, zdolności koncentracji uwagi, pracowitości, nonkonformizmu (w odpowiedniej „dawce”) itp.

Zdolność wykonania dowolnego działania (wiedza) to nie wszystko: Mówiąc kolokwialnie, „nie wystarczy umieć, trzeba jeszcze chcieć”. Potrzebna jest, więc **motywacja**. – Szeroki temat, któremu psychologowie poświęcili setki książek. Nie sposób, więc choćby w lapidarnym skrócie wykorzystać tu ich dorobku. Spróbujmy wskazać na jeden „wymiar” motywacji, który w kontekście pracy twórczej (a ta nas tu najbardziej interesuje) wydaje się być szczególnie doniosły. Mam tu na uwadze odróżnienie motywacji „**wewnętrznej**” i „**zewewnętrznej**”. Odróżnienie to jest ściśle powiązane z innym, odnoszącym się bezpośrednio do działań, które dzieli się często na **autoteliczne i heteroteliczne** (instrumentalne). Można byłoby powiedzieć, że w działaniach autotelicznych (motywowanych „wewnętrznie”) realizacja bezpośredniego celu działania jest jednocześnie (wystarczającym) źródłem satysfakcji działającego.

W przypadku działań heterotelicznych (motywowanych „zewewnętrznie”) realizacja bezpośredniego celu działania jest środkiem do osiągnięcia innych celów. W szczególności – pozyskania rozmaitych dóbr, „materialnych” i „niematerialnych”: pieniędzy, władzy, prestiżu. W przypadku zdecydowanej bodaj większości ludzkich działań splata się (często w bardzo skomplikowany sposób) motywacja „wewnętrzna” i „zewewnętrzna”. W szczególności, nie ma nic ani dziwnego, ani zdroźnego, w tym, że uczeni, artyści, dziennikarze.... pragną pieniędzy, sławy itd. Można jednak przypuszczać, że istnieje dość prosty **związek** między **stopniem twórczego**

charakteru pracy intelektualnej (zakładam jako dość oczywiste, że trzeba tu mówić o pewnej skali wielostopniowej, a nie o wielkości zerojedynekowej: nietwórczy-twórczy) **a poziomem motywacji autotelicznej** (zakładam – choć to nie proste – że można jakoś mierzyć „poziom autoteliczności” różnych działań): aby móc skutecznie wykonywać pracę o danym poziomie charakteru twórczego, trzeba przekroczyć pewien próg autoteliczności (minimum motywacji „wewnętrznej”).

Zauważmy na koniec, że także w przypadku produkcji tekstów – tak samo jak w przypadku każdego innego rodzaju pracy – **kompetencje** oraz **motywacje** są na ogół w mniejszym czy większym stopniu świadomie kształtowane, czyli – **produkowane**: Poczynając od rodziny (w tym przypadku mamy do czynienia ze szczególnie dużym zróżnicowaniem – tak w przekroju czasowym/histerycznym, jak i społecznym/grupowym – świadomego/celowego charakteru działań wychowawczych), poprzez bezpośrednie otoczenie społeczne, instytucje religijne, różnorodne organizacje, po szkolnictwo – od elementarnego/podstawowego po akademickie.

Nie ulega wątpliwości, że pewne – raczej proste – umiejętności oraz proste mechanizmy motywacyjne mogą być wytwarzane jako swoisty „efekt uboczny” działań nakierowanych na osiągnięcie innych celów (np. na wytworzenie pewnych dóbr materialnych albo na podzielenie zadań związanych z gospodarstwem domowym). Z drugiej strony nie ulega też wątpliwości, że (na ogół – są może rzadkie wyjątki od tej reguły) nie sposób w ten sposób ukształtować umiejętności przeprowadzania operacji chirurgicznej albo skłonności do poświęcenia życia dla „dobra ludzkości”. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że i kompetencje, i motywacje niezbędne do produkowania tekstów nie mogą być wytworzone wyłącznie żywiołowo (jako „efekt uboczny” innych działań). Czy jednak oznacza to, że niemal od urodzenia trzeba poddać dziecko szkolnemu (czy *quasi*-szkolnemu) reżimowi edukacyjnemu? – Śmiem wątpić. Ale oczywiście nie jest łatwo udzielić odpowiedzi na **pytanie o (możliwie) optymalną kombinację** raczej swobodnego **wychowania** rodzinno-społecznego, żywiołowego/spontanicznego **rozwoju** oraz bardziej zorganizowanej/systematycznej **edukacji** szkolnej. (Dodajmy, że – gdy mieć na uwadze kompetencje/motywacje niezbędne np. do poważnej pracy naukowej – należałoby przedyskutować ważną, ale skomplikowaną rolę Mistrza i rolę tworzonych przez mistrzów szkół naukowych). Przeciwnie pytanie to można (i, moim zdaniem, należy) potraktować jako jedno z fundamentalnych pytań współczesnej pedagogiki.

Przejdźmy teraz do **przedmiotowej** (obiektywnej) **strony produkcji tekstów**. Dla przejrzystości, dokonajmy jej podziału na dwa składniki: „**duchowy**” i „**materialny**”. (Oba słowa biorę w cudzysłów: z jednej bowiem strony uważam je za wygodne etykiety, dla których nie znajduje lepszych i bardziej intuicyjnie zrozumiałych odpowiedników, z drugiej – nie chciałbym deklorować pełnej aprobaty dla perspektywy filozoficznej najdobitniej sformułowanej przez Kartezjusza).

Za rdzeń składnika „duchowego” uważam następujące, powiązane ze sobą, elementy: **język, metodologię/paradygmat, problematykę**.

Mówiąc o języku mam na uwadze przede wszystkim języki naturalne (polski, angielski itd.) oraz tzw. języki formalne (język KRZ, język arytmetyki Peano, języki programowania – od Fortranu po C++). Nie wykluczam jednak możliwości użycia tego określenia w szerszy sposób tak, by można było mówić o języku malarstwa, języku filmu czy języku muzyki. (Za najciekawszą – spośród mi znanych – próbę rozwinięcia idei różnego typu języków uważam koncepcję radzieckiego filozofa Wasilija W. Nalimowa [1910-1990] *Probabilistyczny model języka*). Rozwój języka naturalnego przebiega głównie żywiołowo (choć nie można lekceważyć wkładu Lutra, Kochanowskiego czy Szekspira w rozwój języków, w których tworzyli; jakiś też – choć raczej niewielki – wpływ mieli w ostatnich dwóch stuleciach językoznawcy). Natomiast w wypadku języków formalnych mamy do czynienia po prostu z ich – produkcją.

W dalszym ciągu naszych rozważań ograniczymy się do **ewolucji języka naturalnego**, który – pomijając inne obszary aktywności intelektualnej – i w nauce odgrywa (wciąż?) fundamentalną rolę; nawet w matematyce i fizyce; o innych naukach przyrodniczych i humanistyce nie trzeba tu nawet wspominać. Dla przejrzystości odróżnimy „wewnętrzną” ewolucję języka od jego ewolucji „zewnątrznej”. Tą pierwszą można byłoby też nazwać ewolucją semantyczno-syntaktyczną, tą drugą – ewolucją pragmatyczną. (Nawiązuję tu oczywiście do znanego podziału problematyki semiotycznej wprowadzonego przez Charlesa Morrisa [1901-1979]). W wymiarze semantycznym można byłoby wskazać dwa procesy: **zwiększania się „mocy wyrazowej”** języka (czyli – może upraszczając – wzrostu rzeczywistego [w odróżnieniu od – stylistycznego, polegającego na pojawianiu się synonimów już istniejących słów] bogactwa leksykalnego) oraz **zwiększania się „subtelności”** języka (klasyczny przykład: język Eskimosów jest „lokalnie” bardziej subtelny niż np. języki europejskie: pozwala lepiej niż one opisać barwę śniegu) oraz jego **precyzji** (zmniejszania się jego „rozmytości” czy stopnia „przybliżenia” – w sensie Z. Pawlaka). Zauważmy, że obok procesów rozwojowych języka dostrzec można też procesy degeneracyjne. Tak właśnie można, moim zdaniem, scharakteryzować proces polegający na używaniu jednego i tego samego słowa do nazywania różnych, często słabo bądź w ogóle nie powiązanych ze sobą pojęć. (Oczywiście to, że w języku polskim słowo „cera” odnosi się do dwóch różnych pojęć, nie jest niczym kłopotliwym. Ale jeśli liczba pojęć oznaczanych danym słowem staje się znaczna, ryzyko błędnej interpretacji danego słowa zwiększa się. Z taką sytuacją mamy do czynienia w humanistyce w przypadku słowa „kultura”. Być może nie każda z ok. stu definicji tego słowa zebranych przez Alfreda Kroebera [1876-1960] i Clyde’a Kluckhohna [1905-1960] charakteryzuje odmienne pojęcie, ale w każdym razie zamieszanie jest spore).

W wymiarze syntaktycznym rozwój języka polega na zwiększaniu się przejrzystości i precyzji jego struktury logiczno-gramatycznej. Procesy tego rodzaju trudno zauważyć, gdy obserwuje się jakiś język naturalny (np. polski) jako całość. Gdy ograniczymy się do (niektórych) języków specjalistycznych – np. matematyki czy fizyki – proces ten jest nietrudny do zauważenia.

Przejdźmy teraz do „**ewolucji zewnętrznej**” języka. Można byłoby powiedzieć, że polega ona na wzroście (lub zmniejszaniu się) językowej homogeniczności pewnej grupy społecznej (lub korelatywnie – na zmniejszaniu się [lub też zwiększaniu się] jej językowej heterogeniczności). Wydaje się, że mamy tu do czynienia dwoma (co najmniej) procesami: Z jednej strony, na pewnym – raczej elementarnym – poziomie języka potocznego dają się zaobserwować procesy homogenizacyjne (zanik gwar/dialektów lokalnych). Z drugiej, na znacznie „wyższym” poziomie – poziomie języka używanego zwłaszcza w nauce (i pokrewnych obszarach: medycynie, prawie, zarządzaniu...) następuje proces heterogenizacji: powstawania coraz liczniejszych języków (slangów?, żargonów?) specjalistycznych. W jakimś stopniu jest to refleksem „wewnętrznej” ewolucji języka, a w szczególności – wzrostu jego „subtelności”. Nie jest jednak oczywiste, czy jest to czynnik jedyny. Wydaje się – przeciwnie – że w niektórych obszarach aktywności intelektualnej mamy do czynienia z hipertrofią specjalistycznych języków, którą tłumaczyć należałoby nie tyle w kategoriach epistemologicznych, co socjologicznych.

Drugim elementem „duchowego” składnika przedmiotowej strony produkcji tekstów jest **metodologia/para-dygmata** (jestem świadom, że zwłaszcza słowo „paradygmat” – ale w pewnym stopniu także „metodologia” ma niewyraźną denotację/konotację czego dyskutować tu nie sposób; sądzę wszakże, że właśnie występując w parze wskazują jednak na pewien obszar zjawisk duchowych/kulturowych, którego w tych rozważaniach pominąć nie sposób). Produkcja tekstów – jak każda zresztą – jest (pomijając ew. rzadkie przypadki szczególne) procesem społecznym: zamiarem (indywidualnego bądź zbiorowego) autora tekstu jest, by wytworzony przezeń tekst był przez jego odbiorców przynajmniej jako taki rozpoznany/zaakceptowany. Jaki jest minimalny warunek akceptacji? By odpowiedzieć na to pytanie niezbędna jest pewna uwaga: Używane tu pojęcie tekstu jest, można by rzec, pojęciem raczej „rodzajowym” niż „gatunkowym”: nie ma tekstów „po prostu” – by być uznanym za tekst, dany obiekt musi być uznany za przynależny do pewnego gatunku (już istniejącego, albo też możliwego/„dającego się wyobrazić”): musi być powieścią, rzeźbą, rozprawą matematyczną, reklamą, piosenką... Przez metodologię/paradygmata możemy rozumieć pewien **zespół reguł/kryteriów** (rzadko – jeśli kiedykolwiek – spisywanych, przede wszystkim: intuicyjnie rozumianych i podświadomie akceptowanych, niekiedy – głównie w przypadku konfliktu intuicji – częściowo artykułowanych, np. w recenzjach czy polemikach), których **przestrzeganie**/spełnienie praktycznie gwarantuje **uznanie** danego obiektu za – przynależący do danego gatunku – tekst. Metodologie/paradygmata podlegają rzecz jasna ewolucji: teksty, których nie uznawano za przynależne np. do matematyki (teoria mnogości) czy malarstwa (obrazy impresjonistów) zostały po pewnym czasie zaakceptowane, co jednak wymagało właśnie zmiany metodologii/paradygmatu. Kluczowym bodaj problemem dla analizy ewolucji paradygmatów jest kwestia utrzymania „równowagi” między metodologiami/paradygmatami „restrykcyjnymi” (nakładającym bardzo „twarde” warunki) a metodologiami/paradygmatami „liberalnymi” (nakładającymi „miękkie”

warunki). Przypuszczam, dałoby się uzasadnić (oczywiście po dokonaniu różnych precyzacji i uzupełnień), iż z punktu widzenia globalnej ewolucji kulturowej ludzkości pożądane jest utrzymywanie się zbioru metodologii/paradygmatów „w okolicach” punktu równowagi.

Mówiąc o trzecim elemencie „duchowego” składnika przedmiotowej strony produkcji tekstów, czyli o – **problematyce**, ograniczę się do tej grupy tekstów, których „tworzywem” są języki naturalne i formalne. Podejrzewam co prawda, że także w przypadku np. malarstwa czy baletu miałyby jakiś sens mówienie o problemach, których „rozwiązaniami” są obrazy albo spektakle; niestety, moje intuicje w tym obszarze są tak niewyraźne, że muszę zrezygnować z choćby skrótovej ich prezentacji.

Przez **problematykę** możemy rozumieć pewien **zbiór pytań** – jakoś ze sobą powiązanych. Ta – nader cząstkowa – charakterystyka tego pojęcia wymagałaby niewątpliwie dalszych analiz. Nie jest to w tym miejscu możliwe. Nie mniej nawet ta charakterystyka pozwala na sformułowanie kilku dość istotnych uwag. Pytania mają, jak wiadomo, założenia, o których prawdziwość też możemy zapytywać. Pytać więc można bez końca (co wiedzieli już starożytni sceptycy) – z punktu widzenia logiki. Z empirycznego punktu widzenia jest to niemożliwe – kiedyś musimy (na pewien przynajmniej czas) skończyć: życie nie sprowadza się do zadawania pytań. Skrajny „radykalizm” (maksymalizm) w zadawaniu pytań wydaje się niepożądany. Z drugiej strony, „konserwatyzm” (minimalizm), który przejawia się w uznaniu „prawie wszystkiego” za oczywiste („świat, jaki jest każdy widzi”) jest bodaj równie niepożądany. – Podobnie jak w przypadku metodologii/paradygmatów doszliśmy do problemu równowagi. I w tym miejscu zakończmy rozważania o składniku „duchowym”. Przejdźmy do składnika „materialnego” produkcji tekstów.

Pojęcie **składnika „materialnego”** chciałbym rozumieć raczej szeroko. W każdym razie na tyle szeroko, by w przypadku tekstów naukowych objąć nim nie tylko materialne urządzenia do drukowania czy elektronicznego zapisywania tekstów (skądinąd – także ich przechowywania: np. gmachy bibliotek), ale także – a nawet: przede wszystkim – materialnych urządzeń służących do zdobywania informacji o świecie: teleskopów i mikroskopów, amperomierzy i spektrometrów, satelitów i akceleratorów: bez tych informacji nie ma pewnego typu tekstów. (Możemy na sygnalizowany tu problem spojrzeć niejako od drugiej strony: praca włożona w obserwacje astronomiczne czy eksperyment fizjologiczny zostanie zmarnowana jeśli wyniki obserwacji/eksperymentu nie zostaną w tej czy innej postaci zapisane, czyli – jeśli nie powstanie jakiś tekst).

Do szeroko rozumianego składnika „materialnego” chciałbym zaliczyć również instytucjonalno-organizacyjne (czy szerzej: społeczne) mechanizmy umożliwiające/uniemożliwiające dostęp naukowców (ale także np. dziennikarzy) do obiektów będących przedmiotami badania (dziennikarskiego opisu...). Jednym z najprostszych, ale – jak wiemy – nader istotnych mechanizmów jest np.

kontrola paszportowo-wizowa, ale także jej odpowiedniki w postaci – przykładowo – służb ochrony w korporacyjnych biurach czy zakładach przemysłowych. Jednym z ciekawszych przykładów działania tego typu mechanizmu było ograniczenie dostępu lekarzy/uczonych do ludzkich zwłok i ograniczenia/zakaz przeprowadzania sekcji, co skutkowało bardzo powolnym rozwojem anatomii/medycyny. Na tym zakończymy analizę (składników procesu) produkcji tekstów, a przejdziemy do zagadnienia ich dystrybucji.

Przechodząc do analizy **dystrybucji tekstów** zauważmy na wstępie, że granica między produkcją a dystrybucją nie zawsze jest wyraźna: O ile różnica między napisaniem książki a jej wydaniem jest dość wyraźna (ale pomyślmy o autorze czytającym swą książkę – rozdział po rozdziale – jednemu słuchaczowi, kilku słuchaczom, dużej ich grupie...), o tyle różnica między próbą generalną a premierą, która może zostać odwołana jest mniej wyraźna. W niektórych przypadkach to przejście między produkcją a dystrybucją jest jeszcze bardziej „ciągłe”: scenopis filmu może nie zostać skierowany do produkcji, produkcja filmu może zostać wstrzymana na różnych etapach, film może trafić „na półki”.

Dystrybucja tekstów podlega kontroli ze strony różnych podmiotów stosujących różnorakie metody. Kierując się względami wygody i przejrzystości, wyróżnijmy (pamiętając i tu o schematyczności i nieostrości tych podziałów) podmioty **polityczne, ekonomiczne i społeczne**.

Te pierwsze to przede wszystkim **państwo** (ale także np. kościoły, gdy dysponowały jakimś rodzajem władzy politycznej), które posługiwało się różnymi formami cenzury. Oprócz cenzury stosowało – zwłaszcza gdy było także jedynym/głównym właścicielem (materialnych) środków produkcji – nieco łagodniejsze formy kontroli: ograniczanie nakładu książek/czasopism, kierowanie filmów wyłącznie do sieci tzw. kin studyjnych, prezentowanie programów telewizyjnych/radiowych w porach najslabszej oglądalności/słuchalności itp.

Jednak dzisiaj w sporej części świata istotniejszą bodaj rolę w kontroli dystrybucji tekstów odgrywają **podmioty ekonomiczne** (przede wszystkim wielkie korporacje), które stosują głównie środki ekonomiczne takie jak umieszczanie/nieumieszczanie reklam, kupowanie całych gazet, stacji TV itp.

Najciekawszym (a zarazem najtrudniejszym do teoretycznej analizy) typem kontroli dystrybucji tekstów jest kontrola sprawowana przez rozmaite **podmioty społeczne**. Gwoli ścisłości należałoby powiedzieć raczej – *quasi*-podmioty: ich granice są znacznie bardziej „rozmyte” niż granice podmiotów politycznych i ekonomicznych, znacznie bardziej „rozmyta” i „płynna” jest także ich wewnętrzna struktura. (Wystarczy porównać z jednej strony np. Ministerstwo Nauki, a z drugiej – tzw. „środowisko” tej czy innej dyscypliny naukowej). Podmioty te dysponują licznymi środkami własnymi, które bywają niezwykle skuteczne: opinia środowiska (bardzo rzadko wyraźnie artykułowana, częściej wyrażana w półsłowach, przemilczeniach, ironicznych uśmiechach...) głosi, iż „tekstów X-a nie warto czytać, bo to same banały...”, „Y nawiązuje do całkowicie przestarzałych

koncepcji...”. Podmioty te dysponują częściowo i pośrednio także środkami podmiotów politycznych, mając mniejszy czy większy wpływ – poprzez rozmaite rady, komitety, komisje i inne zespoły konsultacyjno-doradcze – na decyzje podmiotów politycznych (np. na funkcjonowanie systemu grantów, stypendiów itp.).

Jest jeszcze trzecia grupa mechanizmów, z których korzystają podmioty społeczne w różnego typu i stopnia współdziałaniu z podmiotami politycznymi i ekonomicznymi. Nieco symbolicznie rozpocząć można od **nagród** Nobla przyznawanych od 1901. W kolejnych dekadach liczba mniej czy bardziej znaczących nagród systematycznie wzrastała (wspomnijmy tylko, tytułem przykładu, Medal Fieldsa, Nagrodę Balzana, Oscara, Pulitzera...) – otrzymanie nagrody w istotny sposób wpływało na popularność dzieł autorstwa nagrodzonych (dotyczyło to zapewne w pierwszym rzędzie pisarzy, ale także – uczonych).

Innym ważnym mechanizmem „**konstruowania popularności**” są najróżnorodniejsze listy rankingowe, dotyczące zarówno samych twórców (np. lista 100 najlepszych powieści – skonstruowana przez wydawnictwo Random House, czy „100 książek, które każdy musi przeczytać” – stworzona przez Amazon). Temat reklamy (marketingu) łączy w naturalny sposób zagadnienie dystrybucji tekstów z problemem ich konsumpcji, do którego przejdziemy w następnym punkcie.

Pozostajemy jednak jeszcze na chwilę przy problemie dystrybucji. Kilka słów dotyczących jednej z najważniejszych grup tekstów jaką stanowią – książki. Współcześnie, w dobie globalizacji, gdy wolno może mówić już o powstającym społeczeństwie globalnym, trzeba uwzględnić rolę, jaką odgrywa – realizowana zresztą przez wszystkie trzy typy podmiotów – **polityka przekładowa**.

Problematyka konsumpcji tekstów jest – w dużym stopniu – analogiczna do problematyki produkcji tekstów: można w niej wyróżnić stronę obiektywną i stronę subiektywną. Tym razem rozpoczniemy od sfery obiektywnej.

Kluczowym zagadnieniem jest tu kwestia **dostępności tekstów**. W zależności od gatunku tekstów mamy tu do czynienia z różnymi, zgoła odmiennymi sytuacjami. W przypadku wielu tekstów należących do ikonosfery jesteśmy nimi wręcz „atakowani”; jeśli musimy/chcemy wyjść z własnego domu nie możemy uciec od widoku reklam zasłaniających niekiedy cały wielopiętrowy budynek, od licznych billboardów, plakatów itp. Nieco łatwiej uciec od niechcianych tekstów w przypadku TV, radia czy Internetu. Ale i w tym przypadku wymaga to sporego wysiłku; chyba że całkowicie przestajemy z nich korzystać, co jest na ogół niemożliwe. Natomiast w przypadku książek, czy (niektórych) czasopism sytuacja jest całkiem inna: mamy tu do czynienia z barierą cenową, a także z ograniczoną (w różnym stopniu) dostępem do bibliotek.

Przejdźmy teraz do analizy subiektywnej strony konsumpcji tekstów. Także i w tym przypadku wygodnie będzie wyróżnić **kompetencje** (umiejętności) oraz **motywację**.

Jest oczywiste, że niezbędna do odbioru tekstów jest znajomość języka (ogólnego, specjalistycznego) – słów, pojęć (ważne, ale łatwe – za sprawą Wikipedii, leksykonów itd. – do poprawienia), ale także – co niestety trudniejsze do

natychmiastowej korekty – zdolność do rozpoznawania np. złożonych struktur gramatycznych, logicznego porządku argumentacji itp. Potrzebna jest też wiedza pozwalająca zrozumieć symbole, metafory, aluzje, których przecież nie sposób z wielu tekstów usunąć. Do kompetencji zaliczyć też można pewne bardzo istotne cechy umysłu/charakteru – przede wszystkim (powiązane ze sobą) **cierpliwość i zdolność koncentracji**.

Jeśli chodzi o **motywację**, to dogodnie będzie i tu odróżnić motywację „**zewnątrzną**” i „**wewnętrzną**”. Jeśli chodzi o pierwszą z nich, to w najczystszej postaci występuje w przypadku uczenia się do wielu egzaminów. Chodzi wtedy, że – jak to się mówi – zakuć, zdać, zapomnieć... Nie jest wykluczone, ale raczej mało prawdopodobne, by motywowanie w ten sposób obcowanie z tekstami przyniosło jakieś trwałe, pozytywne rezultaty. Inaczej jest w przypadku kontaktu z tekstami, który ma przynieść trwałe rezultaty w postaci wiedzy/umiejętności potrzebnej przy wykonywaniu jakiejś (raczej prostej) pracy, czynności domowych itp. Jest jeszcze jeden rodzaj motywacji „zewnątrznej”, który można byłoby umieścić gdzieś „pomiędzy” dwoma poprzednimi. Można byłoby określić krótko słowem „snobizm”: znajomość (na ogół powierzchowna) pewnych tekstów bywa(ła) niektórych środowiskach warunkiem uzyskania w nich odpowiednio wysokiej pozycji, a niekiedy – po prostu wstępu do nich.

Motywacja „**wewnętrzna**” także nie jest jednorodna. Można tu wyróżnić motywację, powiedzmy, „czysto hedonistyczną”: obcowanie z takimi czy innymi tekstami ma dostarczać (natychmiastowej, prostej...) przyjemności, którą można było scharakteryzować „negatywnie” (przez negację, a nie – pejoratywnie) jako np. „brak nudy”. Tak motywowane obcowanie z tekstami nie powinno wiązać się z żadnym wysiłkiem (powinno być „lekkie, łatwe i przyjemne”). Z drugiej strony mamy do czynienia z motywacją „egzystencjalną”: pragnieniem „bycia kimś” (np. Polakiem, Europejczykiem, katolikiem, człowiekiem racjonalnym...) i „bycia jakoś” (np. obcowania z Platońską Triadą – Dobra, Prawdy i Piękna) – tu nawet długotrwały wysiłek jest dopuszczalny.

Zarówno **kompetencje** jak i **motywacje** niezbędne do konsumpcji tekstów można (i, jak sądzę, trzeba) kształcić. Wolno jednak zapytać, czy szkoły różnych szczebli wywiązują się z tego zadania. Jak się rzeczy mają w innych krajach – trudno powiedzieć (choć, jeśli wnosić z niektórych tekstów publicystycznych, to np. w takich Stanach Zjednoczonych – na ogół: o Ivy League nie mówimy – niezbyt dobrze). Jak mi się wydaje (a mówię to z perspektywy nauczyciela akademickiego przyglądającego się od ponad trzydziestu lat studentom różnych kierunków) w Polsce z kształceniem kompetencji jest „jako tako”, natomiast z rozwijaniem motywacji – kiepsko. A w dyskusjach o (kolejnych) reformach szkolnictwa temat ten nie jest nie ma w ogóle podnoszony. Być może także dlatego, że trzeba by – przy okazji – odpowiedzieć na pytanie, o to czy to, jakie książki ktoś czyta, jakie filmy ogląda itp. jest wyłącznie jego osobistą sprawą (bo przecież „jeden ma taki gust, drugi inny, niczego nikomu nie można narzucać...” itd. itp.), czy może jednak także – naszą (polską, europejską, ogólnoludzką) wspólną sprawą.

Kryzys sfery intelektualnej

Przechodząc do kluczowego w tym artykule zagadnienia kryzysu intelektualnego, zacząć pragnę od kilku uwag ogólnych. Przede wszystkim chcę stwierdzić, że nie są przypadkowe proporcje między tą ilością uwagi (i miejsca), którą poświęciłem ogólnym rozważaniom o sferze intelektualnej, a tą ilością (wyraźnie mniejszą) poświęconą kryzysowi intelektualnemu – właściwemu przecież tematu tego tekstu. Wynika to z dwóch powiązanych ze sobą przyczyn: Po pierwsze, samo pojęcie kryzysu intelektualnego jest logicznie pochodne w stosunku do ogólnego pojęcia kryzysu i do pojęcia sfery intelektualnej; niezbędna więc była (przynajmniej z punktu widzenia tej opcji epistemologiczno-metodologicznej, którą zadeklarowałem we wstępie) analiza tych logicznie wcześniejszych pojęć. Po drugie, analiza pojęcia sfery intelektualnej (w istocie: próba jej strukturalnego opisu, która zdecydowanie wykracza poza granice czysto logiczno-językowej analizy) pokazała, że jest ona bardzo złożonym obiektem, a więc jej (hipotetyczny, możliwy...) kryzys musi być nie mniej złożonym procesem. Wynikają stąd dwa wnioski. Wniosek pierwszy: wiarygodna **diagnoza kryzysu** intelektualnego nie może być dokonana wyłącznie w oparciu o najbardziej nawet głębokie/błyskotliwe intuicje – niezbędne są **badania empiryczne**. Wniosek drugi: przeprowadzenie badań empirycznych wymaga – jak to już dziś dobrze wszyscy wiemy – **wcześniejszych analiz teoretycznych**. Skądinąd jest prawdopodobne, że wiele cząstkowych badań empirycznych zostało już przeprowadzonych, ale wymagają one uporządkowania i – zapewne – uzupełnienia. Mówiąc obrazowo: wiele elementów „puzzla” (choć – przypuszczam – dalece nie wszystkie) już gdzieś istnieje; trzeba je odnaleźć, dodać brakujące i spróbować właściwie je ułożyć. Żeby to się udało, trzeba mieć jakiś wstępny, szkicowy choćby, obraz całości.

A teraz, kilka słów jeszcze o samym pojęciu kryzysu sfery intelektualnej. W analizie przeprowadzonej w punkcie wyżej zupełnie pominęliśmy (by nie komplikować rozważań) jej geograficzny/**przestrzenny wymiar**: sfera intelektualna była rozpatrywana jako fragment bliżej nieokreślonej „rzeczywistości społecznej”. Ale narzuca się przecież – zwłaszcza gdy mówimy o kryzysie sfery intelektualnej – proste pytanie: Gdzie? Czy domniemywany kryzys (intelektualny) ma charakter ogólnoswiatowy, czy może – europejski, albo tylko – polski (francuski, amerykański itd.)? Wymaga to ustalenia **na ile sfera ta tworzy jedną światową całość**, a na ile dzieli się na względnie autonomiczne całości (nie koniecznie określone granicami państw narodowych: mówi się – może nie całkiem precyzyjnie, ale też niebezpiecznie o filozofii „anglosaskiej”, którą przeciwstawia się filozofii „kontynentalnej”). Nie da się też rozstrzygnąć tego problemu bez uwzględnienia wewnętrznego, przedmiotowego zróżnicowania sfery intelektualnej: przykładowo matematyka, ale także – muzyka rozrywkowa są niewątpliwie silnie zglobalizowane; poezja – związana silnie z językami etnicznymi (nawet tymi, które w życiu codziennym mało są używane, jak choćby języki celtyckie) ma charakter dużo bardziej lokalny. Niezbędna jest więc wnikliwa analiza wewnętrznej

przedmiotowej struktury sfery intelektualnej. Trzeba przy tym odnotować, iż sama ta struktura nie jest przestrzenią jednorodną, i to zarówno w makroskali (np. we Francji Lem od dawna ma swoje miejsce w obrębie matematyki – w Warszawie, ale już nie – w Krakowie).

Na koniec tego autokomentarza, chciałbym zwrócić uwagę na dwie jeszcze kwestie, które zostały pominięte: Po także pominięty całkowicie został **problem „istotnościowego” zróżnicowania sfery intelektualnej**: wyróżnienia w jej obrębie elementów (czynników) mniej i bardziej istotnych: odgrywających mniejszą bądź większą rolę w determinowaniu dynamiki całej sfery. A jest to kwestia szczególnie istotna w kontekście rozważań o kryzysie: intuicja i praktyka językowa sugerują nam, że są **kryzysy** (bardzo) „**głębokie**” – takie, których rozwiązanie oznacza zmiany raczej „rewolucyjne” (ale bardziej w sensie Kuhna niż Robespierre’a) i **kryzysy** (bardzo) **płytkie**, które znajdują rozwiązanie poprzez niewielkie „powierzchnowe” zmiany. – Problem nie jest błahy, a jeśli przyjąć, że badania nad kryzysem intelektualnym nie są motywowane wyłącznie ciekawością poznawczą, ale mają na uwadze przede wszystkim cele praktyczne, to problem ten trzeba uznać za fundamentalny. Niestety, jego analizę odłożyć trzeba na inną okazję. (A tu dodajmy jeszcze jedno spostrzeżenie: jeżeli założyć, że kryzysy mają różną głębię, to powinno się okazać, że jest z nimi nieco podobnie do ciszy/hałasu: Jest tak niski poziom natężenia dźwięku, że wszyscy odczuwają go jako ciszę; jest też zapewne taki poziom natężenia dźwięku, że wszyscy – z miłośnikami heavy metalu włącznie – odbierają go jako hałas. Pomiędzy są zaś takie natężenia, które przez jednych odbierane są jako „prawie cisza” a przez innych jako „prawie hałas”. Z postrzeganiem kryzysów – intelektualnych i innych – jest podobnie. Tłumaczy to – choć tylko po części – różnice opinii w tej sprawie.) Jak więc widać, pełniejsza diagnoza kryzysu intelektualnego – odpowiadająca na takie, proste przecież, pytania jak „Gdzie – kryzys?”, „Kryzys – w jakich dziedzinach?” – wymagałaby dalszej pracy przygotowawczej: szerszej/głębszej analizy teoretycznej samej sfery intelektualnej.

Drugie zagadnienie wiąże się z kwestią zasięgu pojęcia „kryzys”. Można go używać rozpatrując jakąś sferę ludzkiej działalności (intelektualnej) w sposób autonomiczny, abstrahując od jej powiązań z innymi sferami. Widziany z tej perspektywy kryzys danej sfery mógłby być rozwiązany także przez jej zniknięcie (koniec, śmierć”; skądinąd warto odnotować – a i kiedyś poddać to zjawisko bardziej systematycznej analizie, iż w XX wieku obwieszczano między innymi „koniec filozofii”, „koniec opery”, „śmierć powieści”.... – wszystkie te proroctwa okazały się nietrafione, choć być może tylko przedwczesne....). Kluczowym dla zrozumienia istoty takiego kryzysu jest odpowiedź na pytanie o „zewnątrzne” konsekwencje takiego zdarzenia: Być może w niektórych przypadkach (np. alchemii) należałoby je uznać za pozytywne; w niektórych (np. zmierzch operetki jako dziedziny twórczości) – za obojętne. Ale są dziedziny, których zniknięcie mogłoby mieć mniej lub bardziej dramatyczne konsekwencje dla życia społecznego:

np. hipotetyczny (aczkolwiek mało prawdopodobny) zanik nauk przyrodniczych. Konsekwencje zniknięcia niektórych dziedzin – w szczególności religii – są przedmiotem budzących głębokie kontrowersje spekulacji.

Można też odwrócić problem i zapytać, czy jeśli jakaś dziedzina „widziana = od wewnątrz =” rozwija się w sposób niezakłócony, to nie ma żadnych podstaw, by mówić o jej kryzysie? Myślę, że są powody, by udzielić odpowiedzi przeczącej: Każda dziedzina aktywności pozostaje w związku (w innym żargonie: jest członem społecznego podziału pracy) z innymi dziedzinami. Związek ten można byłoby określić metaforycznie jako niekiedy „symbiotyczny”, a niekiedy – „pasożytniczy” („komensalizm” też wchodzi w grę). Pewne przekształcenia tego związku. Przykładowo: za zjawisko kryzysowe w matematyce można byłoby uznać osłabienie jej więzów z fizyką (gdyby coś takiego faktycznie miało miejsce; czy faktycznie miało – nie mogę się wypowiedzieć). A (domniemany bądź faktyczny) kryzys nauk społecznych mógłby polegać (między innymi!) na swego rodzaju „nienadążaniu” ich rozwoju za tempem przemian społecznych, czyli na poszerzaniu się – mimo postępu tych nauk – „luki poznawczej” między nauką a (społeczną) rzeczywistością. Podsumowując: są – wydaje mi się – powody, by oprócz kryzysu (pewnej sfery) w ścisłym sensie tego słowa rozważać też **szersze pojęcie kryzysu** (danej sfery) – odnoszące się do relacji tej sfery z innym (np. polityką, gospodarką, środowiskiem...).

Kryzys produkcji tekstów

Nie będąc w stanie dokonać systematycznej analizy zjawisk, które – jak mi się wydaje – mogą być interpretowane jako elementy (symptomy, determinanty...) kryzysu produkcji tekstów, ograniczę się do ich wyliczenia – wraz z krótkim komentarzem.

1. Jednym z największych wyzwań (a może – z pewnego punktu widzenia – największym) wobec szeroko rozumianej nauki jest – **globalizacja**. Można ją, jak wiadomo, definiować na różne sposoby, a są one – w większości – raczej komplementarne niż konkurencyjne. W tym miejscu chciałbym przyjąć, że globalizację będziemy tu rozumieć jako proces powstawania jednego, autodynamicznego **eko-techno-socjo-kulturowego systemu** o bardzo wysokim stopniu złożoności. Jest dość oczywiste, że rozpoznanie mechanizmów determinującego jego dynamikę wymaga (inter/trans/multi) dyscyplinarnej perspektywy. W szczególności – to bodaj najważniejsze przezwyciężenia – opisanej już kilkadziesiąt lat temu przez Charlesa P. Snowa [1905-1980] – „przepaści” między „**dwoma kulturami**”: humanistyką i naukami ścisłymi/przyrodniczymi.
2. W odniesieniu do problemu dwóch kultur, warto przytoczyć następujące spostrzeżenie wybitnego fizyka Murraya Gell-Mana: *Specjalizacja jest konieczną cechą naszej cywilizacji, lecz musi jej towarzyszyć interdyscyplinarna integracja myślenia. Jedną z przeszkód na drodze do takiej integracji*

- jest *linia oddzielająca tych, którzy swobodnie postępują się matematyką, od tych którzy wolą jej unikać*. [Gell-Mann: 39-40' podkr. W. Cz.]. Jeśli zgodzić się z przytoczoną opinią (sam w pełni ja podzielam) to nie sposób nie dostrzec jak daleko sięgają konsekwencje dobrego/złego uczenia matematyki.
3. Jednym z istotnych czynników wpływających na proces **dezintegracji** („bałkanizacji” – jak pisał niegdyś G. Picht [1913-1982]) **nauki** jest znany od dziesięcioleci mechanizm *Publish or Perish* (w Polsce w ostatnich latach za pomocą regulacji prawnych wzmocniono działanie tego, najogólniej mówiąc, problematycznego mechanizmu): gwałtownie rosnąca podaż nowych publikacji zmusza – by „być na bieżąco” – do zawężania specjalizacji. Sama zaś dynamika tego mechanizmu ma (co najmniej) dwa ważne źródła: z jednej strony: potrzeby biurokratycznej (np. ministerialnej) kontroli nauki, z drugiej – interesy wielkich wydawnictw (Kluwer, Springer itd.).
 4. Jest dość ciekawym i nieco zagadkowym faktem, że **proces dezintegracji nauki przebiega** w najwyższym stopniu **nierównomiernie**. Weźmy matematykę: mimo olbrzymich różnic (pojęciowych, metodologicznych...) istniejących między, powiedzmy, logiką matematyczną a równaniami różniczkowymi cząstkowymi – instytucjonalna, towarzyska, filozoficzna... jeden (na ogół) kierunek studiów - jedność matematyki jest – uważam – trudno podważalnym faktem. Weźmy z drugiej strony badania nad polityką: prowadzone są w ramach nauk politycznych (politologii), a – osobno! – w ramach historii politycznej, socjologii polityki, antropologii polityki, filozofii polityki, a także prawa (prawo konstytucyjne) czy zarządzania (zarządzanie sektorem publicznym). A wszystko to w ramach różnych instytutów czy zgół wydziałów prowadzących różne kierunki studiów – reprodukując w ten sposób istniejące podziały.
 5. Nie ulega wątpliwości, że – abstrahując od pozornych komplikacji, niepotrzebnie trudnego języka i innych patologii nauki – zwiększa się jej trudność, złożoność, obszerność. Tym samym rośnie zapotrzebowanie (oczywiście przy założeniu, że pożądanym jest „społeczeństwo inteligentne”, w którym niemal wszyscy – pomijając pewną, być może kilkuprocentową, mniejszość – rozumieją system, którego część stanowią) nie tylko na dobrą popularyzację poszczególnych obszarów wiedzy, ale na – użyjmy nieco staroświeckiego terminu – na syntezę wiedzy. Budowanie takiej **syntezy**, a także jej metodologicznych i aksjologicznych podstaw, jest moim zdaniem naturalnym **zadaniem filozofii**. Niestety, duża część (większość?) filozofów nie tylko w swej zawodowej praktyce odrzuca możliwość podjęcia się tego zadania, ale buduje teoretyczne (ideologiczne) uzasadnienia tej rejterady: antypozytywizm, antynaturalizm, antyścjentyzm, postmodernizm... – to różne nazwy tej samej co do istoty ideologii.

6. Oczywiście praca samych filozofów nie wystarczy; potrzebny jest także wysiłek specjalistów z różnych dziedzin. Przytoczmy w tym kontekście cytowanego już wyżej noblistę: „*Niestety, informacyjna eksplozja jest w znacznej mierze eksplozją dezinformacji. (...) Musimy postarać się, aby większym prestiżem cieszyły się takie bardzo twórcze działania, jak napisanie poważnego artykułu przeglądowego, lub książki odróżniającej informacje niewiarygodne od wiarygodnych i systematycznie przedstawiające te ostatnie w postaci udanej teorii lub schematu. Jeśli pracownik uniwersytetu opublikuje nowy wynik naukowy z ważnej dziedziny wiedzy, może zyskać nagrodę w postaci profesury lub awansu, nawet jeśli później okaże się, że rezultat ten był całkowicie błędny. Natomiast wyjaśnienie znaczenia już dokonanych odkryć (lub oddzielenie tego, czego warto się uczyć, od tego, co na to nie zasługuje) raczej nie prowadzi do akademickiej kariery. Ludzkość ogromnie zyska, jeśli system nagród ulegnie takiej zmianie, że nacisk selekcyjny decydujący o karierze będzie faworyzował zarówno zdobywanie informacji, jak ich sortowanie.*” [Gell-Mann, 443-444; podkr. moje W. Cz.]

*informacyjna eksplozja
jest w znacznej mierze
eksplozją dezinformacji.*

Kryzys dystrybucji tekstów

1. Zaczniemy od ponownego zacytowania Gell-Manna: „Wydaje się, że charakterystyczną cechą oddziaływania odkryć naukowych na literaturę i masową kulturę jest fakt, że **drogę od publikacji naukowej do popularnego magazynu przeżywają tylko pewne słowa**, interpretowane luźno lub zgoła niepoprawnie. Gdzieś giną ważne zastrzeżenia, rozróżnienia, a nawet główna idea.” [Gell-Mann, 54] – Oprócz bezpośredniej dystrybucji tekstów, mamy do czynienia z ich dystrybucją „pośrednią”: teksty rozpowszechniane są poprzez antologie (zawierające na ogół mniejsze czy większe fragmenty tekstów oryginalnych), cytaty (jak choćby właśnie przytoczony), streszczenia i omówienia, recenzje (krytyki, polemiki). Z jednej strony jest to proces i nieuchronny, i pożądanym. Ale jak wskazuje Gell-Mann, wiąże się też z istotnymi niebezpieczeństwami. – Znalezienie jakiegoś rozwiązania tego dylematu jest jednym z istotnych wyzwań stojących przed nami.
2. Im większa (w sensie czysto ilościowym) produkcja tekstów, w tym większym stopniu ich dystrybucja zależy od **mechanizmów marketingowych**, zorganizowanej „**opinii środowiska**” i innych mechanizmów, które pozostają na ogół w dość luźnym związku z merytoryczną wartością danych tekstów. – Myślę, że wnikliwa i uczciwa analiza historii kultury (światowej, europejskiej, także – polskiej) w okresie po II wojnie światowej pokazałaby, że niekiedy teksty drugorzędne zyskiwały niebywałą popularność, a teksty bar-

dzo wartościowe – znane były/są nielicznym. Oczywiście stworzenie mechanizmów rzetelnej krytyki – ani elitarystycznej, w której kilku/kilkunastu krytyków narzuca swą opinię większości, ani pseudodemokratycznej (używającej np. Internetu) – nie jest łatwe. Jest jednak pilnie potrzebne – o ile, rzecz jasna, chcemy rozwijać demokratyczne społeczeństwo wiedzy...

3. Zasygnalizujemy tu jedynie skomplikowany problem legalnej, ale **bezpłatnej** czy *quasi*-bezpłatnej, **dystrybucji** tekstów w **Internecie**. Wydaje się, że wcześniej czy później dojdziemy do takiego stanu. Pozostaje otwarte pytanie – jak wpłynie to na podaż (dobrej jakości) tekstów.
4. Nieco podobny charakter ma problem **patentów**, licencji, itp. oraz ich zasięgu. – Ponoć zdarza się dziś, że nie publikuje się niektórych prac z matematyki – mają bowiem bezpośrednie zastosowania technologiczne, które podmioty ekonomiczne pragną zmonopolizować.

Kryzys konsumpcji tekstów

Także i w tym punkcie dokonam po prostu przeglądu pewnych zjawisk, które mogą być - w moim przekonaniu – interpretowane jako składniki/symptomu współczesnego kryzysu tekstów.

1. Zaczniemy od pewnej obserwacji poczynionej w połowie lat 80-tych ubiegłego stulecia przez Józefa M. Bocheńskiego [1902-1995]. Jego zdaniem, „największym *niebezpieczeństwem, które nam dzisiaj grozi, jest coraz powszechniejsze odwracanie się człowieka od rozumu. Już sama liczba tych, którzy wydają ciężkie pieniądze na astrologię, numerologię i tym podobne zabobony, świadczy, jak bardzo ludzie są nieracjonalni. Jakie są następstwa takiej nierozumnej postawy, pokazuje jasno mordowanie niewinnych w imię pewnej, takiej czy innej ‘ideologii’ – dzisiaj praktykowane tak często, że aż uchodzi za coś normalnego.*” [Bocheński, 48-49; podkr. moje W.Cz.] – Myślę, że proste (i nie bardzo kosztowne) badania nad zawartością pótek w dowolnej księgarni Nowego Yorku, Warszawy, Bangkoku w znacznym co najmniej stopniu potwierdziłyby obserwacje Bocheńskiego.
2. Wydaje się, że w wielu tzw. (wysoko) rozwiniętych społeczeństwach mamy do czynienia z procesem pewnego (jak dużego/szybkiego – trudno, oceniając „na oko” powiedzieć; tym bardziej trudno w ten sposób ocenić trwałość tego trendu) **obniżania się prestiżu uczonych** i społecznego do nich **zaufania**. Mamy tu – można przypuszczać - do czynienia ze skutkiem działania dwóch czynników, związanych z działalnością samych uczonych. Z jednej strony, część uczonych, lekceważąc tradycyjny etos: głosząc dziś jedną a jutro całkiem inną prawdę (a przytrafia się to i historykom, i medykom, i wielu innym), w skrajnym zaś przypadku dopuszczając się zwykłych oszustw – wpływają na spadek zaufania do całego środowiska. Ale także ci, którzy (za bardzo, „zbyt sztywno”?) przywiązani są do tradycyjnego etosu, a zwłaszcza

- do reguły *de omnis dubitandum*, także (paradoksalnie?) wpływają negatywnie na zaufanie.
3. Na spadek prestiżu naukowców wpływają też **media**, zwłaszcza – telewizja, w której uczeni (z różnych powodów) chętnie się pojawiają. Nawet w programach publicystycznych mają na ogół do dyspozycji kilka/kilkanaście minut, co często poważnie utrudnia (choć nie uniemożliwia) przejrzystą prezentację jakiegoś problemu. Kilka czy nawet kilkanaście sekund w programach informacyjnych daje najczęściej efekty groteskowe: utytułowany uczony zmuszony jest wypowiadać banały, które – co wielu, choć pewnie nie wszyscy, zauważa – byłby w stanie sformułować niemal każdy.
 4. W jeszcze inny sposób media (TV, Internet) wpływają na obniżenie się prestiżu uczonych (a także „poważnych” artystów), Takie osoby jak np. Doda, bracia Mroczkowie, Natalia Siwiec a także (tu z należnym skądinąd szacunkiem) Małysz, Stoch czy Kowalczyk... zajmują miejsce, które niegdyś zajmował Kotarbiński, Holoubek czy, powiedzmy, Lem. Do artystów (?) „sztuk rozrywkowych” dołączają tu wielcy biznesmeni (tym komórkowy razem nie polskiego raczej pochodzenia – dlaczego, to osobna historia): Gates, Jobs, czy ostatnio Zuckerberg. Krótko mówiąc: **zabawa i robienie pieniędzy**.
 5. Podejrzewam, że pewne (nie potrafię powiedzieć jak duże, niełatwo byłoby to zbadać empirycznie) znaczenie dla obniżenia prestiżu uczonych ma niewątpliwie (przynajmniej w krajach europejskich) **spadek prestiżu kapłanów** – ludzi, których prestiż opierał się w dużej mierze na słowie: mówionym i pisanim, na znajomości Księgi, a także i bardziej zwyczajnych ksiąg. To samo *mutatis mutandis* dotyczy **nauczycieli**.
 6. Istotną rolę w przemianach odegrał **telefon komórkowy**, a zwłaszcza pojawienie się SMS-ów: bardzo krótkich i szybko wymienianych komunikatów. Zwróćmy też uwagę na tak z pozoru niewinne urządzenie, jakim jest pilot do telewizora. Można przypuszczać, że w pewnym – choć być może w nieznacznym, znacznie mniejszym niż „komórka” stopniu –i on wzmocnił tendencję do **życia w tempie „fast”**. Przyzwyczajenie do takiego tempa zmniejsza poziom cierpliwości/skupienia, który jest niezbędny do przyswojenia sobie wielu tekstów: Przypuszczam np. że dla wielu wychowanych od wczesnego dzieciństwa przeczytanie całej „Trylogii” – nawet jeśli posiadają niezbędne kompetencje kulturowe – jest fizyczną/fizjologiczną niemożliwością.

5. Uwagi końcowe

Kryzys intelektualny przełomu wieków?

Przez ostatnie ponad **dwa i pół stulecia** toczą się równoległe **dzieje historiozoficznego optymizmu** (wiary w mniej lub bardziej ciągły i nieuchronny postęp) i **historiozoficznego pesymizmu** (wiary w mniej lub bardziej dramatyczny i nieuchronny regres), przyjmującego niekiedy skrajną formę katastrofizmu.

(Przyjmuję tu, umownie, ale nie całkiem dowolnie, że publikacja *Encyklopedii Diderota i d'Alamberta* [1751], którą można uznać za manifest historiozoficznego optymizmu, oraz publikacja *Rozprawy o naukach i sztukach* J.J. Rousseau [1750], będącej wyrazem historiozoficznego pesymizmu – zapoczątkowują tradycje myślowe, które są – niezależnie od różnorodnych przekształceń – trwale obecne w naszej kulturze: w filozofii i literaturze, w myśli politycznej i naukach społecznych.) Nie wchodząc głębiej – z braku miejsca i czasu – w problem, zasygnalizujmy tu strukturalną analogię między historiozoficznym optymizmem i pesymizmem: oba zakładają jakąś formę determinizmu i monolinearną wizję procesu historycznego, oba zakładają też, że proces historyczny jako całość może podlegać „zagregowanej” ocenie. Jest raczej oczywiste, że oba założenia są problematyczne, a zatem można je odrzucić – i wyjść poza obszar, na którym kontrowersja między optymizmem i pesymizmem historiozoficznym jest w ogóle możliwa. A spoglądając na tę kontrowersję „z zewnątrz” można dostrzec jej ideologiczny charakter: oba stanowiska można uznać za racjonalizację emocjonalnych postaw wobec historii – już to nadziei, już to lęków. Wyrażając tę opinię nieco inaczej, można byłoby powiedzieć, że optymizm (historiozoficzny) jest przejawem zwykłego myślenia życzeniowego (*wishful thinking*), natomiast (historiozoficzny) pesymizm jest przejawem myślenia życzeniowego „odwróconego” („perwersyjnego”).

Spory o różnego rodzaju kryzysy wpisują się (często?, na ogół?) w ten spór. Tym samym miewają charakter ideologiczny, a więc są wtedy – z zasady – nierozstrzygalne. Są rozmaite czynniki, które sprzyjają ideologizacji sporów o kryzysy. Nie sądzę jednak, by wszystkie te czynniki łącznie (a tym bardziej którykolwiek z nich z osobna) czyniły ideologizację takich sporów czymś nieuchronnym. Przeciwdziałanie procesom ideologizacji nie jest łatwe, ale jest – uważam – możliwe. Wymaga to, jak zawsze, świadomości istniejącego niebezpieczeństwa. A także – zastosowania odpowiednich środków zapobiegawczych. Te środki zapobiegawcze to, po pierwsze, możliwie precyzyjna aparatura pojęciowa, pozwalająca formułować jednoznaczne tezy, analizować zachodzące między nimi logiczne związki itd. Po drugie, traktowanie diagnozy takiego czy innego kryzysu jako (empirycznej) hipotezy, która jest/może być z określonym (niekiedy w sposób bardzo rozmyty: za pomocą takich terminów jak „bardzo duże”, „niewielkie”, „znikome”) prawdopodobieństwem sfalsyfikowana/zweryfikowana.

Jeszcze bardzo ogólna uwaga nt. wpływu Internetu na (hipotetyczny) kryzys intelektualny. Rzecz wymaga empirycznych badań. Ich wyników nie sposób przewidzieć. Samo projektowanie tych badań wymaga jednak choćby roboczego przyjęcia pewnych ogólnych założeń. Myślę, że analizy przeprowadzone w niniejszym artykule wskazują na ogromną (i prawdopodobnie stale rosnącą) złożoność sfery intelektualnej. Także sam Internet staje się coraz bardziej złożonym obiektem. Jeśli tak, to w niemal pewne jest, że **interakcje** między całą **sferą intelektualną** a jej fragmentem – **Internetem**, też stają się coraz bardziej złożone. Jest *a priori* niemal pewne, że niektóre z tych interakcji **pogłębiają kryzys**, a inne – przeciwnie – **sprzyjają jego przewyciężaniu**.

Na pytanie o to, czy mamy dziś (na przełomie XX i XXI wieku) do czynienia z kryzysem intelektualnym i jaką ewentualnie rolę odgrywa w nim Internet (i inne elementy rewolucji informacyjnej) nie sposób – jak mi się wydaje – udzielić obecnie odpowiedzialnej, zdecydowanej odpowiedzi. Jest natomiast faktem, że są różnorakie (i to nie błahe) powody, dla których hipoteza kryzysu bywa formułowana. Czy warto poświęcać czas, wysiłek, środki materialne by prowadzić badania niezbędne by hipotezę tę zweryfikować/sfalsyfikować?

O potrzebie badań nad (hipotetycznym) kryzysem intelektualnym

Moją odpowiedź na pytanie, którym kończy się poprzedni podrozdział, jest zdecydowanie pozytywna.

1. Załóżmy (używam tu tego słowa, by podkreślić ponownie, że każda diagnoza jest hipotezą), że mamy dziś do czynienia z rozlicznymi, **kryzysami – ekologicznym, demograficznym, energetycznym** itd.
2. **Globalna skala** tych kryzysów, ich złożoność i wzajemne powiązanie powodują, że **znalezienie** skutecznych **sposobów wyjścia** z nich **metodą prób i błędów** jest **mało prawdopodobne**. Nawet jednak zakładając, że metoda ta przyniosłaby pożądane rezultaty, można przypuszczać, że koszty (finansowe, społeczne) zastosowania tej metody byłyby dużo większe – w porównaniu z kosztami metod stworzonych metodami naukowymi.
3. Analizując doświadczenia ostatniego półwiecza (przyjmijmy tu jako symboliczną – datę prezentacji raportu sekretarza generalnego ONZ U Thanta [1969]), można dojść do wniosku, że **nie udało się** – jak dotąd – wytworzyć dostatecznie głębokich i kompleksowych **diagnoz** kryzysów, ani też **propozycji rozwiązań**.
4. Jest prawdopodobne, że główną **przyczyną** tego stanu rzeczy jest właśnie – **kryzys intelektualny**.
5. Współczesnego kryzysu intelektualnego dotyczy najprawdopodobniej ta sama prawidłowość, która charakteryzuje inne współczesne kryzysy jego: **żywiolowe rozwiązanie jest mało prawdopodobne**.

Stawka w grze o prawidłowe zdiagnozowanie i (ewentualne) przewyciężenie kryzysu intelektualnego może być dużo wyższa niż się to mogłoby z początku wydawać. A jeśli tak, to znacznie większa niż to się na ogół wydaje jest **moralna odpowiedzialność** (za to czym i jak się zajmują) **epistemologów, socjologów wiedzy i historyków nauki, medioznawców i pedagogów** – wszystkich specjalistów, których trans/interdyscyplinarna systematyczna współpraca jest niezbędna by istotnie zwiększyć szanse na wygraną w tej grze. – To, oczywiście, dodatkowy ciężar, który trzeba by wziąć na swe barki. Ale, z drugiej strony, to szanse na poczucie, że uczestniczy się w pracy o trudnej do przecenienia doniosłości.

Bibliografia:

- Bocheński, Józef M. (1993). *Logika i filozofia. Wybór pism*. Warszawa: Wyd. Naukowe PWN.
- Czajkowski Waldemar(2007).„*O pewnych poznawczych pożytkach płynących z wieloznaczności słowa rewolucja*”, w: K. Brzechczyn, M. Nowak (red.) *O rewolucji. Obrazy radykalnej zmiany społecznej*, Poznań: Wyd. Naukowe Instytutu Filozofii UAM, ss. 13-36.
- GELL-MANN, Murray (1996). *Kwark i jaguar. Przygody z prostotą i złożonością*. Warszawa: Wyd. CIS.
- Porębski M. (1972) *Ikonosfera*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy.